

## Michał Gołębiowski: Zmagania z Fellinim

Ucieczka w głąb samego siebie jest wyrazem nieufności wobec rozkoszy świata. Może to być, owszem, nieufność jeszcze nie do końca nieświadomiona, ale w swojej naturze jak najbardziej realna. Eskapizm to jej przejaw – pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Fellini. Ideologie, nowoczesność i trąby aniołów”.

Federico Fellini był mi dość dalekim. Nie w tym jednak sensie, że nieznanym czy nierozpoznanym, ale, poprzez swoją celebrację bogactwa świata, duchowo jakoś dalekim. Po każdym seansie mówiłem sobie, że inaczej wyobrażam sobie pełnię. Jeżeli upojenie życiem – to nie to, którego właściwą przestrzenią jest wielość smaków, lecz raczej *apeiron*, czyli wykraczający poza nasz horyzont bezkres, olśnienie, wewnętrzne wyzwolenie. Mistrzami wolności wydawali mi się mistycy. Zmysły zawsze stawiają naszemu szczęściu granicę.

Poetyka „ucieczek światowych” zawsze wzbudzała we mnie nieufność. Czy występuję w tych zmaganiach z filmami Felliniego jak domorośli Savonarola wobec przebogatej spuścizny humanizmu renesansowego? Twórca *La Strady* jest, z całą pewnością, dalekim wnukiem włoskich humanistów, i chyba to właśnie stanowiło dla mnie główną przeszkodę w odbiorze jego dzieł. Nie sądzę, żeby powodem był resentyment. Raczej powątpiewanie w to, że beztroska karnawału może trwać długo. Albo że w ogóle jest czymś prawdziwym.

Z tego powodu zawsze wołałem Michelangelo Antonioniego. Zmysłowość tego drugiego wydawała mi się nie tak naiwna, mniej breugnonowska, w każdym razie – równoważona świadomością tragizmu ludzkiej egzystencji. Tragizmu, który dla mnie samego, nie musiał być ostateczny. W pewnym sensie nie mógł wręcz mieć ostatniego słowa, ponieważ ostatnie słowo należy do wieczności. Niemniej, tragizm (a jeśli nie tragizm, to użyjmy słów: ciężar, absurd lub paradoks) jest czymś realnym. Z drugiej strony, jeśli zastanowimy się dłużej, to być może odkryjemy, że zachłyśnięcie się światem, którym przepełnione są filmy Felliniego, pobrzmiewa od czasu do czasu metafizycznymi tonami.

Można więc na kino Felliniego spojrzeć w inny sposób. W pewnym momencie dało mi to do zrozumienia jedno z opowiadań Claudio Magrisa z tomu *Migawki*. Utwór ten jest krótki, prosty i dosadny. Dostajemy opis tłumu ludzi przesiadującego w dużej restauracji (albo kawiarni – to w tym momencie nie tak istotne). Jest, o ile dobrze pamiętam, upalne lato, śmiech, gwar żywych rozmów oraz zaaferowanie kelnerów, którzy nieustannie uwijają się wokół stolików.

Na koniec puenta Magrisa, chłonącego cały ten zgiełk: oto współczesny *danse macabre*. W tłumie zacierają się granice indywidualności. Każdy tworzy tam wielką całość, jakby ikonę całego gatunku ludzkiego. W pewnym sensie są jednym. Nie ma wśród nich gorszych czy lepszych, nie ma króla ani chłopca. Jest tylko tłum. Jest człowieczeństwo. Są ludzie. To, co ich łączy, to wiązka zawsze zbyt krótkiego życia i fakt śmiertelności. Każdemu siedzącemu w tej kawiarni przypadł ostatecznie ten sam los. I nie brzmiało to u Magrisa jak posępny wyrok, lecz bardziej jak dojrzała umiejętność cieszenia się chwilą.

Skojarzenie *Migawek* z filmami Felliniego jest chyba dość jasne. Tutaj dwie niezwykle wymowne sceny z filmów włoskiego mistrza. Pierwsza to – wedle słów jednej z bezimiennych, pojawiających się na kilka sekund bohaterek *Słodkiego życia* – „Jezus, który leci helikopterem nad Rzymem”. Chodzi, oczywiście, o sekwencję otwierającą film. Jesteśmy wówczas świadkami przenoszenia helikopterem figury Jezusa, tak aby umieścić ją na Placu Świętego Piotra. Zbawiciel jakby unosi się nad mieszkańcami wiecznego miasta, błogosławiąc bawiące się dzieci, robotników, ludzi wracających z pracy i kobiety opalające się na leżakach.

Druga scena to upadające pod ciężarem własnego rozpasania kondygnacje domów publicznych. Widzimy coś takiego w *Satyriconie*. Niezwykła to scena, nie tylko wizualnie, choć pod tym względem, oczywiście, zapadająca w pamięci dosłownie na zawsze. *Satyricon* oglądałem ostatni raz kilkanaście lat temu, a jednak ta konkretna sekwencja pozostała jednym z punktów odniesienia w rozumieniu natury rzeczywistości. Było w niej coś potężnego, smutnego, a poniekąd również oczyszczającego. Coś przypominającego zakończenie *Na wspak* Jorisa-Karla Huysmansa. Nie powiedziałbym, że stanowiła przestrożę, lecz coś w rodzaju epitafium dla mocy popędu, który w pewnym momencie załamuje się i upada.

Jest więc w tym rozkoszowaniu się życiem miejsce na przypomnienie o tym, że „przemija postać tego świata” (zob. 1 Kor 7,31), a człowiek „każdego dnia umiera” (zob. 1 Kor 15,31). Włączenie w te refleksje religijnego wątku nie będzie, z pewnością, uzurpacją, zważywszy na katolickie podglebie myślenia i odczuwania Felliniego. Z drugiej strony, jest chyba jasne, skąd u mnie, katolika, zmaganie z jego filmami. Sam

Fellini na różne sposoby zmagał się ze swoim katolickim wychowaniem. Sprawa nie rozbija się jednak na gruncie humanistycznych wartości, lecz na świadomym ograniczeniu do tego, co ludzkie, a zatem – na pewnym braku. Istnieją wprawdzie u Felliniego intuicje metafizyczne. Można wręcz powiedzieć, że Jezus jest tam obecny, ucztuje z bliskimi i pije wino, tak jak to było w Kanie Galilejskiej, ale nigdy nie znalazłem tam zawierzenia.

Prócz dwóch wspomnianych scen, które jednocześnie wskazują na ogólny rys kina Felliniego, warto wspomnieć również o eskapizmie. Ucieczka w głąb samego siebie jest już przecież, jakby na to nie patrzeć, wyrazem nieufności wobec rozkoszy świata. Może to być, owszem, nieufność jeszcze nie do końca nieświadomiona, ale w swojej naturze jak najbardziej realna. Eskapizm to jej przejaw. Można, rzecz jasna, uciekać tylko po to, aby zachować w sobie smak i barwy świata. I rzeczywiście, tak to często wygląda u Felliniego. Jednak ucieczka jakoś sygnalizuje również naszą skończoność. Nie byłoby jej, gdyby nie upływ czasu i fakt cierpienia. Chodzi w niej przecież o znalezienie miejsc schronienia oraz kontemplację wspomnień.

No właśnie. Fellini bywa też w pewnym sensie kontemplatykiem. Nie w tym jednak sensie, w jakim o kontemplacji pisali mnisi pustyni. Fellini to zdecydowanie świecki i postchrześcijański kontemplatyk upływającej chwili. Jego rozumienie neorealizmu kieruje nas w stronę celebracji czegoś, co moglibyśmy nazwać nagim momentem życia. A to już pewien rodzaj duchowości. Wciąż nie ten, którego, jako chrześcijanin, poszukiwałbym, przy którym mógłbym odpocząć i uznać swoje spełnienie. Przeciwnie, dla mnie samego to rozmiłowanie w chwili niezmiennie wiązało się z nienasyceniem, gaszonym tylko na chwilę i w gruncie rzeczy na próżno.

Nie można jednak zaprzeczyć, że ta humanistyczne, z ducha renesansowe życie wewnętrzne Felliniego może otwierać na zupełnie nowy horyzont. Czy otwiera na bezkres – tego nie wiem. A może zamyka? Tego też nie wiem, choć można chyba zaufać, że ostatecznie raczej to pierwsze.

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---